

Czy dać politykom z budżetu i inne sprawy referendalne

15 sierpnia 2015

6 września odbędzie się w naszym kraju referendum. Obywatele mają możliwość zdecydować o następujących rzeczach: czy ustalić wybory parlamentarne w oparciu o jednomandatowe okręgi wyborcze (JOW); o zakazaniu finansowania partii z budżetu; o wprowadzeniu zasady, że wątpliwości co do wykładni prawa podatkowego rozstrzygane są na korzyść podatnika.

Oto prezydent wywodzący się z partii, która pokazywała wielokrotnie brak woli zwoływania referendów mimo wyraźnych próśb obywateli, nagle, „ratując” siebie i swoje ugrupowanie przed klęską wyborczą, występuje z pomysłem referendum dotyczącego aż trzech bardzo ważnych spraw.

Na pozór przyjęcie w referendum nowych zasad ma poprawić funkcjonowanie naszego kraju – oto parlamentarzyści mają być wybierani w jednomandatowych okręgach wyborczych, a więc dzięki temu lepiej znani swoim wyborcom, nie ustawiani według partyjnych list; oto partie polityczne przestaną być finansowane z budżetu, co odciąży nas jako podatników; obywatel ma poczuć się pewniej przy składaniu oświadczeń podatkowych.

W rzeczywistości sprawa nie jest tak prosta. Przede wszystkim także w nowym systemie partie będą powoływać do wyborów w JOW-ach swoich najbardziej zaufanych członków, a wyborcy, zamiast wybierać kandydatów z długich list skonstruowanych dla poszczególnych partii, będą w praktyce często wybierać na zasadzie „mniejszego zła”. W większości krajów, gdzie dłużej funkcjonują jednomandatowe okręgi wyborcze, w „głównym” życiu politycznym istnieją tylko po dwie partie, które na przemian „dzielą się” władzą w zależności od wyników wyborów. Wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych w ordynacji

do parlamentu spowoduje jedynie trwałe „zabetonowanie sceny politycznej” – mniejsze partie nie będą miały szans, by w ogóle wejść do parlamentu, nie mówiąc o zawieraniu koalicji. Pomysł ich wprowadzenia należy więc ocenić jako teoretycznie odpowiadający na społeczne oczekiwania, a w praktyce umacniający pozycję obecnie dominujących partii.

Podobnie jest z postulatem likwidacji finansowania partii z budżetu. Nie jest niczym odkrywczym, że funkcjonowanie każdej partii wymaga dysponowania znaczną ilością pieniędzy. Same składki członkowskie nie pokrywają wszystkich kosztów działalności ugrupowania. Jeśli partia cierpi na niedobór funduszy, a równocześnie mamy zakaz finansowania z budżetu, to istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że zwróci się o dofinansowanie do potencjalnych sponsorów – najczęściej dużych firm, które są w stanie ponieść jego ciężar. Przy czym niekoniecznie muszą być to firmy pochodzenia rodzime, jako że mało jest bardzo zamożnych polskich firm. Jest wysoce prawdopodobne, że głównymi sponsorami partii politycznych będą firmy zagraniczne, co w rezultacie jeszcze bardziej może uzależnić Polskę od oczekiwań inwestorów z zagranicy. W najciemniejszym (ale prawdopodobnym) scenariuszu polscy parlamentarzyści mogą reprezentować interesy zagranicznych firm eksportujących do Polski energię – najlepszym przykładem jest chociażby rosyjski Gazprom. W ten sposób politycy nie będą działać w interesie polskiego społeczeństwa. W takiej sytuacji można będzie zapomnieć o wprowadzaniu ustaw choć trochę godzących w pozycję kapitału zagranicznego, np. dotyczących rzetelnego opodatkowania dużych sieci handlowych.

Zakaz finansowania partii z budżetu państwowego ma jeszcze jeden, być może najbardziej negatywny aspekt. Otóż podtrzyma szkodliwy dla ogółu wizerunek polityka w Polsce – osoby mało uczciwej, myślącej tylko o interesach swoich, rodziny i znajomych. W rankingach politycy zajmują wśród grup zawodowych jedno z ostatnich miejsc, jeśli chodzi o poziom zaufania społecznego. Jakby było tego mało, duża część społeczeństwa

uważa ich za „złodziei” lub „darmozjadów”. Społeczeństwo nie tylko nie darzy polityków sympatią – ludzie często wręcz izolują się od polityki, traktując ją jako sferę nieczystych zagrywek. Świadczy o tym z jednej strony niska frekwencja w kolejnych wyborach, a z drugiej popieranie ruchów „antysystemowych” nawet o bardzo mało sprecyzowanym programie, jak ugrupowanie ludzi skupionych wokół Kukiza, których łączy niewiele poza chęcią „rozwalenia systemu” i dążeniem do wprowadzenia wspomnianych JOW-ów.

W takiej sytuacji zakazy finansowania partii z budżetu trafiają na podatny grunt. Coraz mniej ludzi chciałoby utrzymywać partie polityczne z pieniędzy zgromadzonych w budżecie, traktując to bowiem jako kolejny przejaw „złodziejstwa polityków”. Jednak wprowadzenie takich zakazów jedynie skomplikuje sytuację polityczną, bowiem jest to zerwanie z istniejącą w bardziej cywilizowanych społeczeństwach zasadą „płacę, więc wymagam”. Zasada ta w większości systemów demokratycznych obowiązuje także w relacjach między rządzącymi a ich przedstawicielami, w oparciu między innymi o system podatkowy. Partie finansowe ze źródeł pozabudżetowych – na przykład z pieniędzy oferowanych przez przedsiębiorstwa – raczej nie będą dbać o interesy wyborców. Nawet w przypadku przegranych wyborów członkowie takich partii mogą iść pracować do firm, które wcześniej wspierali różnymi ustawami. Prawidłowość ta nie jest typowa tylko dla krajów słabo lub średnio rozwiniętych, lecz nawet dla wysoko rozwiniętych. Co prawda w Niemczech partie są finansowane z budżetu, ale pouczającym przykładem może tu być osoba Gerharda Schroedera, który jako kanclerz Niemiec doprowadził do budowy Gazociągu Północnego, a po przegranych wyborach otrzymał wysokie stanowisko w Gazpromie. Nie tylko z perspektywy Niemiec, ale nawet z punktu widzenia obywateli „republiki bananowej” można takie postępowanie uznać za oburzające.

Zakaz finansowania partii z budżetu prowadzi do coraz silniejszego przenikania się polityki i biznesu. Bardziej

rozpowszechniona może stać się chociażby korupcja, ponieważ desperacko poszukujące środków partie polityczne czy poszczególni politycy mogą bezprawnie „ułatwiać” wielu firmom prowadzenie działalności gospodarczej w zamian za pomoc finansową. Kto będzie przystępować do takich ugrupowań, które swoją działalność rozpoczynają od przekrętów, chyba nawet nie warto wspominać.

W przypadku Polski wprowadzenie ustawy o zakazie finansowania partii może oznaczać wręcz „oligarchizację”, lub „feudalizację” systemu politycznego. Pojęcie „feudalizacji” może być o tyle na miejscu, że w dawnej feudalnej Rzeczypospolitej też funkcjonowała demokracja, ale była to demokracja reprezentująca wyłącznie szlachtę, czyli ludzi o określonym statusie majątkowym. Również we współczesnej Polsce może dojść do tego, że znaczna część społeczeństwa – drobni rolnicy, pracownicy najemni, część inteligencji – może nie mieć reprezentacji politycznej, bo po prostu nie będzie jej stać, by z własnych środków „utrzymywać” jakąkolwiek partię.

Nietrudno sobie wyobrazić, że po wprowadzeniu proponowanych rozwiązań będziemy mieć do czynienia z rządami następujących partii: liberałów wspierających kapitał zagraniczny (w oparciu o stosunki chociażby z innymi krajami Unii Europejskiej lub z Rosją) oraz konserwatystów reprezentujących część bogatych przedsiębiorców krajowych. W takim kraju nie będzie raczej miejsca na inne ugrupowania, chyba że swoją działalność rozpoczną od wspierania jeszcze innych bogatych właścicieli lub wielkich przedsiębiorców. Można będzie natomiast zapomnieć o jakichkolwiek partiach o programie bardziej prospołecznym, reprezentujących interesy pracowników fizycznych i najemnych, drobnych rolników, mniej zamożną część inteligencji.

Innym scenariuszem, który może zagrozić Polsce po wprowadzeniu zakazów finansowania ugrupowań politycznych jest „oligarchizacja”, znana zwłaszcza z Rosji – gdzie sprawujący silną władzę prezydent (lub premier) kontroluje znaczną część krajowego biznesu, natomiast zamożni właściciele bogatych

firm, którzy mogą wspierać konkurentów, są eliminowani poprzez fabrykowanie nieprawdziwych zarzutów. Jednak w przypadku Polski, ze względu na członkostwo w Unii Europejskiej, gdzie obowiązują demokratyczne reguły, bardziej prawdopodobny staje się scenariusz „feudalizacji” aniżeli „oligarchizacji”, zwłaszcza w wersji rosyjskiej.

Dodać należy, że w prezentowanym systemie finansowania partii spoza budżetu rację bytu stracą nie tylko partie o programach bardziej lewicowych (lub nawet centrolewicowych), lecz także partie reprezentujące ugrupowania ekologiczne (Zieloni), a także ugrupowania broniące praw mniejszości (zarówno narodowych, religijnych, jak i seksualnych). Trudno bowiem oczekiwać, aby partie reprezentujące interesy wielkiego biznesu brały z jakichś powodów pod uwagę interesy jakichkolwiek grup będących w mniejszości.

Spółeczeństwo, broniąc się przed finansowaniem partii z budżetu, pozbawi się wpływu na własne losy. Czy warto oszczędzać na finansowaniu partii, jeśli w efekcie zaniknie kontrola społeczeństwa nad rządzącymi? Dodać trzeba, że również przyszłość Polski nie będzie się wówczas rysować różowo. Partie reprezentujące jedynie właścicieli oraz przedsiębiorców (niekoniecznie polskich) nie będą dbać o losy kraju, lecz działać prawdopodobnie jedynie w myśl zasady „tu i teraz”. Nie będą więc prowadzić żadnych dalekowzrocznych działań, aby za ileś lat Polska była lepszym miejscem do życia; chyba, że akurat te działania przyniosą w przyszłości wymierne korzyści wielkim przedsiębiorcom – choć niekoniecznie ich pracownikom.

Jeśli mimo wszystko Polska będzie się nadal rozwijać (chociażby dzięki pieniądзом unijnym), to może być to rozwój bardzo nierównomierny – przy planowaniu inwestycji mogą być brane pod uwagę jedynie te regiony, gdzie inwestorzy i właściciele reprezentowani w parlamencie mają swoje zakłady. Na przykład inwestor reprezentowany w parlamencie, a posiadający fabryki tylko na Śląsku lub w Wielkopolsce, będzie

brał pod uwagę rozbudowę infrastruktury (autostrad, dróg ekspresowych, zmodernizowanych linii kolejowych) tylko w wymienionych regionach. Przy takim trybie rozwoju dojdzie do jeszcze ostrzejszych podziałów na „Polskę A” i „Polskę B”. Będzie więc można wówczas zapomnieć o takich długofalowych działaniach, jak inwestycje w edukację, ochronę zdrowia, badania naukowe czy ochronę środowiska. Nie wspominając o prospołecznych inicjatywach: dłuższych urlopach, podwyższeniu płacy minimalnej czy ulgach podatkowych dla rodzin wielodzietnych.

Którego z wielkich właścicieli będzie interesować los społeczeństwa polskiego? Przecież nawet jeśli w Polsce dojdzie do jeszcze głębszego kryzysu demograficznego w wyniku emigracji młodzieży i starzenia się społeczeństwa, to część przedsiębiorców przeniesie produkcję do krajów, gdzie sytuacja demograficzna jest lepsza.

System finansowania partii politycznych z budżetu to swoisty „bezpiecznik”, mający służyć temu, aby partie nie były zbyt uzależnione od wielkiego biznesu, który może wpływać na kształt ustaw w parlamencie.

Ponieważ społeczeństwo polskie najczęściej ocenia polityków negatywnie, wysoce prawdopodobny jest czarny scenariusz – w efekcie odcięcia partii od finansowania z budżetu dojdzie do eliminacji ugrupowań politycznych, które dbają o interesy większej części społeczeństwa. Pozostaną wyłącznie ugrupowania reprezentujące silniejszy biznes, któremu niekoniecznie będzie zależeć na rozwoju kraju.

Podsumowując, podczas najbliższego referendum warto sobie zadać pytanie: jakiej Polski chcemy? Czy Polski, gdzie posłowie i senatorowie starają się dbać o interesy wszystkich grup społecznych, a rozwój naszego kraju jest planowany w sposób dalekowzroczny i jak najbardziej równomierny? W takiej Polsce partie powinny być finansowane z budżetu. A może chcemy Polski nieco tańszej, za to rozwijającej się nierównomiernie,

w oparciu o interesy wielkiego biznesu? Czy chcemy żyć we względnie taniej „republice bananowej” w środku Europy, pozbawionej własnej polityki wewnętrznej i zagranicznej oraz możliwości trwałego rozwoju? Czy wolimy choćby niewielką część budżetu przeznaczyć na to, aby podjęte decyzje służyły dobru wspólnemu?

Wybór należy do nas, obywateli – warto się nad tym zastanowić, zanim dnia 6 września wrzucimy kartkę do urny.

Autorstwo: Witold Ptak

Źródło: NowyObywatel.pl